

Idź do

Przykładowy rozdział

Spis treści

Katalog książek

Bestsellery

Nowe książki

Zapowiedzi

Twój koszyk

Dodaj do koszyka

Cennik i informacje

Zamów cennik

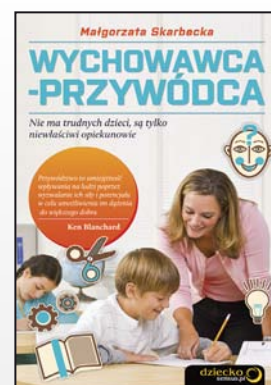
Zamów informacje o nowościach

Wychowawca-przywódca. Nie ma trudnych dzieci, są tylko niewłaściwi opiekunowie

Autor: Małgorzata Skarbecka

ISBN: 978-83-246-2998-5

Format: 140 × 208, stron: 152



Nauka w szkołach powinna być prowadzona w taki sposób, aby uczniowie uważali ją za cenny dar, a nie za ciężki obowiązek.

Albert Einstein

Nauczycielu! Wychowawco!

Prawdopodobnie uczymy różnych przedmiotów, ale wierzę, że Ty i ja mamy podobne podejście do młodzieży — zamiast pacyfikacji wybieramy współpracę i rozwój. Wierzymy, że naszym zadaniem nie jest wyłącznie zapoznanie dzieciaków z programem nauczania. Pokazujemy im również, jak należy zachowywać się w grupie, rozmawiać z innymi, doceniać wartość wszystkich osób i pracować nad swoją własną. Mimo że czasy są trudne, a młodzież wymagająca, otwieramy się na współpracę i dzięki tej otwartości uzyskujemy świetne efekty. Jeśli szukasz skutecznych narzędzi rozwoju Twoich uczniów, ta książka na pewno Ci się przyda!

Znajdziesz tu praktyczne pomysły na lekcje i twórcze spojrzenie na klasę oraz proste narzędzia, które w krótkim czasie przyniosą zadziwiające efekty wychowawcze. Wyniki nauczania sprawią, że dzieciaki będą zadowolone, otwarte na Twoje nowe pomysły oraz chętne do eksperymentowania i rozwoju.

Do perfekcji wiem, że podczas pracy w szkole trafiają się złe dni, kiedy mimo najlepszych intencji nic nie idzie po naszej myśli. Przeżyłam to wielokrotnie. Ale czyż nie podbudowuje Cię myśl, że tam, za drzwiami, czekają na Ciebie Twoi uczniowie? To Ty jesteś ich nauczycielem. Jesteś dla nich wzorem. Drogowskazem. Wychowawcą. Przywódcą. Możesz zmienić znacząco ich życie — spoczywa na Tobie wielka odpowiedzialność.

Małgorzata Skarbecka

Małgorzata Skarbecka

WYCHOWAWCA -PRZYWÓDCA

*Nie ma trudnych dzieci, są tylko
niewłaściwi opiekunowie*



*Przywództwo to umiejętność
wpływania na ludzi poprzez
wyzwalanie ich siły i potencjału
w celu umożliwienia im dążenia
do większego dobra.*

Ken Blanchard



dziecko
sensus.pl



Spis treści

Wstęp	Dla wszystkich tych, którzy uważają, że pracują z „trudną młodzieżą”	9
Rozdział 1.	Bolibrzuch i chiński paragraf	13
Rozdział 2.	Zarządzanie konfliktem, czyli dziewczyny kontra chłopaki	33
Rozdział 3.	Każdy ma swojego słońca	53
Rozdział 4.	O co naprawdę chodzi złośliwej Dominice?	67
Rozdział 5.	Skuteczne NIE, czyli jak obronić swoje śniadanie	85
Rozdział 6.	Czy czujesz zapach zachodu słońca?	105
Rozdział 7.	Klasa 20 dzieci to klasa 20 kompletnie różnych osób	117
Rozdział 8.	Jak skutecznie dmuchać bańki mydlane	133

Rozdział 2.

Zarządzanie konfliktem, czyli dziewczyny kontra chłopaki

Jak sprawić, aby klasa była i integracyjna, i zintegrowana, a każdy szybko zauważył, jaką rolę pełni w grupie i dlaczego mu dobrze w tej roli.

Godzina dwudziesta. Oczywiście już po lekcjach. Po radzie pedagogicznej. Po wywiadówce. Siedzę z koleżanką w samochodzie przed jej domem (ja jestem tą uczynną zmotoryzowaną koleżanką) i wałkujemy temat sfrustrowanej matki, która sama już nie wie, co robić, bo jej dziecko jest nieakceptowane i źle się czuje w klasie. Koleżanka jest wychowawcą klasy, do której chodzi to dziecko.

— Sam zaczyna, prowokuje, a potem płacze i skarży! Dzieci go nie lubią! Dokuczają... normalnie okropność! A tak fajnie już było, myślałam, że się polubili! Czemu nigdy nie może być fajnie?

Wiem, o kim mowa. Te dzieciaki naprawdę się lubią, są razem od pierwszej klasy. Teraz są w czwartej i pomijając normalne tarcia, są naprawdę zgraną i miłą w nauczaniu klasą.

Prócz jednego ucznia, który jest CAŁKIEM NOWY. Wrócił do Polski po wielu latach pobytu z rodzicami za granicą. Tam chodził do szkoły, uczył się, tam zdobywał umiejętność życia w grupie. Zgodnie z tym, co mówiła matka, tam też miał problem z integracją. Obcokrajowiec, z Polski, słabiej mówi w języku, ma inne nawyki, tradycje, inną kulturę — sprawa jakby oczywista, że nie do końca przystaje i że sam czuje się nie na miejscu.

Ale to było tam, a tutaj jest tutaj. Bariery językowej ani kulturowej przecież nie ma. Ma pełne prawo, by czuć się „u siebie”. Ale znów jest obcy. Bo ma trochę inny akcent, jest nieco inaczej ubrany, ma inne zeszyty. Szybko więc dostał etykietkę „jest stamtąd”.

Nic dziwnego, że gdy matka słucha opowieści syna o tym, jak minął mu dzień (jak piąte koło u wozu, z dala od zabaw i rozmów), to boli ją ta sytuacja. Zwłaszcza że kłuje ją poczucie winy, bo to przecież była ich — rodziców — decyzja o wyjeździe z Polski. I przez tę decyzję jej syn ma teraz problemy, popłakuje, chodzi osowiały.

Za granicą matka zebrała się w sobie, poszła do wychowawcy, a nawet wyżej, żeby pomóc. Poruszyła tamtejsze kuratorskie niebo i ziemię, tak że władze oświatowe wydały oficjalny zakaz dzieciom z klasy wyzywać syna od „Polaków”.

I teraz, po powrocie do ojczyzny, ma przechodzić dokładnie to samo?

Coś zrobić trzeba, to nie ulega wątpliwości. I to szybko, zanim chłopiec przestanie chodzić do szkoły, zanim zacznie się wagarowanie, zanim matka wyruszy do kuratorium. Tylko wiadomo też, że w kuratorium nie wywalczy ani sympatii, ani akceptacji dla syna, ani zaproszeń na urodziny do kolegów i koleżanek, ani podawania piłki w trakcie zajęć sportowych. Chłopiec

nie zostanie przyjęty do grupy, bo ktoś tak nakaże. Chłopiec nie poczuje się częścią grupy, bo ktoś tak nakaże. Żaden nakaz, przymus, rozporządzenie ani kara tego nie zmieni.

Tutaj potrzeba bardziej subtelnych działań.

— Znajdź im innego wroga! — mówię do przyjaciółki.

— Innego... co? Jakiego wroga? Mam skierować ich uwagę na inne, silniejsze dziecko, które sobie z tym poradzi? A może ja albo pan dyrektor? O! Najlepiej dyrektor, on sobie da radę, bo ma autorytet, stłumi każdą rebelię czwartoklasistów w zarodku. Już sobie wyobrażam...

— Ja wcale nie mówię o konkretnym człowieku. Wrogiem niekoniecznie musi być człowiek. To może być coś, z czym będzie walczyła cała klasa, na co będą sobie mogli spokojnie ponarzekać, pomarudzić razem z tym nowym, i to koniecznie z nim, więc to musi być coś wspólnego... Wtedy będziesz mieć spokój.

Koleżanka patrzy na mnie podejrzliwie, ale chyba dostrzegła jakiś sens w mojej propozycji, bo wysiadając z samochodu, mówi:

— OK, dziś mnie to przerasta, idę spać. Jutro mi wszystko wytłumaczysz, na razie muszę poprzewracać się po łóżku do świtu w poczuciu niemocy i porażki. Dobranoc!

Wspólny wróg to naprawdę dobre narzędzie na zarządzanie nastrojami w klasie.

Koleżanka zatrzasnęła drzwiczki samochodu. Ruszyłam powoli spod bloku i zaczęłam włączać się w ruch uliczny. Słyszę za sobą szalone trąbienie, ale trzymam się spokojnie swojego pasa. Obok mnie, mimo że teren zabudowany i ograniczenie prędkości do 50 km/h, przemyka samochód. Za jego przykładem idą inni kierowcy, przemykają obok mnie, trąbiąc jak szaleni i oślepiając mnie długimi światłami.

Uśmiecham się wyrozumiale, bo mam jak na dłoni przykład wspólnego wroga.

Ja jestem tym wspólnym wrogiem tych wszystkich wspaniałych kierowców, którzy w swoich lśniących, wypucowanych samochodach mkną ulicami. Ja, w swoim ulubionym gruchotku, który nie dość sprawnie włącza się do ruchu, spowalnia i przeskadza. Myślą o mnie pewnie „zawalidroga”, „oferma”, „niedzielny kierowca”.

To nic.

Jestem wyrozumiała w stosunku do tych kierowców na drodze, a także dla zespołu ekspedientów w sklepie (których wyrwam ze słodkiego nieróbstwa moimi dociekliwymi pytaniami, czym różni się MP3 player od MP4 playera) i moich wychowanków (od których wymagam postępów w nauce i przyzwoitego zachowania), ponieważ wiem, że to normalna reakcja.

Wszędzie tam, gdzie znajduje się kilka osób, zawsze pojawiają się takie same fazy bycia razem, docierania się. Pojawiają się konflikty i trzeba je fachowo rozwiązywać.

Przez wiele lat, zanim zrozumiałam, na czym polega i jak przebiega typowy scenariusz konfliktu, liczyłam na swoje szczęście i swoją zdolność szybkiego reagowania, gdy trzeba było dogadać się z klasą, gdy trzeba było uspokoić płaczącego ucznia, gdy trzeba było uspokoić zdenerwowanego rodzica na wywiadówce. Potem, już po zrozumieniu co i jak, przestało mnie dziwić, że dzieciak, który w teorii POWINIEN skakać z radości, bo oto jest w Krakowie i widzi smoka, którego dotąd znał tylko z obrazków i legend, płacze i chce do mamy, albo stwierdza, że wcale mu się ten smok nie podoba.

Następnego dnia jak zwykle na lekcjach ze swoimi podopiecznymi weszłam do klasy, zapytałam, jak się dziś mają, co u nich nowego i czy wszystko NA PEWNO dobrze. Wszystko dobrze! Zaczynamy więc naukę!

Jak zwykle zapisałam temat i sprawnie ustaliłam rodzaj ćwiczeń. W sali cisza, wszyscy pilnie pracują. Piszą w zeszytach, przeglądają podręczniki. Na samym początku ustaliliśmy zasady wspólnego przebywania na lekcjach i uczniowie doskonale wiedzą, co i kiedy wolno. To bardzo ułatwia, daje poczucie niezmienności, także im. Już od dawna nie muszę prosić, żeby ktoś pożyczył zapominalskiemu Szymkowi książkę, żeby ktoś starł tablicę po kolejnym ćwiczeniu, żeby ktoś został dwie minuty po dzwonku i poprawił krzesła po śpieszących się kolegach. Wspierają się, podają sobie zeszyt, gdy ktoś nie zdąży odpisać z tablicy, pożyczają przybory, zawsze wyciąga się kilka rąk z długopisem, mazakiem, korektorem. Czytają, piszą, szukają z różnym zaangażowaniem, ale nikt nie musi sam. Lubią się, a ja się cieszę, bo to dobrze, że się zgrali. Wiedzą, na co kogo stać, co ich łączy, z czego nie należy się śmiać, a co jest naprawdę śmieszne.

W tej idylli widzę jednak coś, co mnie zaintrygowało. Widzę wyraźny podział na dwa obozy. Tego wcześniej nie było, a teraz... wyraźnie coś podzieliło całą klasę na DZIEWCZYNY I CHŁOPAKÓW. O ile ONE starają się pokazać z jak najlepszej strony, jako bardzo dorosłe i poważne, o tyle ONI zdecydowanie coś kombinują, pomimo ciszy i zapracowania. Łapię miny, gesty i porozumiewawcze spojrzenia. Nadchodzi moment, w którym wzajemna zgoda i wyrozumiałość zostaną zawieszono w muzeum. Ciekawe, o co tym razem poszło?

Dzwonek. Chłopcy szybko sprzątajają swoje miejsca i pędzą na wychowanie fizyczne. Pogoda za oknem wspaniała, więc nic ich nie powstrzyma przed uganianiem się za piłką. Natomiast dziewczyny wyraźnie ociągają się i wreszcie, ze wzburzeniem wypisanym na twarzach, podchodzą do mojego biurka. Ja spokojnie na nie czekam, powoli pakując swoje rzeczy. Nie zagaduję

pierwsza. Nie chcę wyjść na wścibskiego belfra. Alcia idzie pierwsza, ona będzie tłumaczyła, co się stało. Widzę łzy w jej oczach... Alcia przytula się i szlochając, informuje, że już dłużej nie wytrzyma z tym „niedojrzałym elementem, który wszystko w klasie psuje”.

— O chłopaków chodzi? — pytam.

— Jak zwykle! — inna uczennica, Aga, jest wyraźnie rozgoryczona.

— Opowiedzcie, co się stało. Czemu nie da się już wytrzymać z tym... „niedojrzałym elementem”? — pytam.

Tego oczywiście się spodziewałam, jako że ostatnio, na zmianę z panią higienistką, włączaliśmy w głowy całej mojej dwudziestki podopiecznych, czym się różni dojrzewanie dziewcząt od dojrzewania chłopców. Wnioski były jasne — chłopcy dojrzewają trochę wolniej i w innym kierunku, stąd czasem trudniej im się pracuje, nie chcą robić gazetek, a najważniejsza jest piłka i „siedzenie na kempie” ile się da. Usilnie tłumaczyłyśmy, że to jest normalne i że nie należy się z tego wyśmiewać, że trzeba być dla siebie wyrozumiałym i uczynnym. Praktyka oczywiście pokazała, że to nie jest takie łatwe, gdy się ma jedenaście lat.

— To się na muzyce zaczęło. My byłyśmy normalne, a oni pajacowali, i pani wpisała wszystkim uwagi, nam też! — wybuchła Marta.

— I my poszłyśmy do pani od muzyki powiedzieć, że my nic nie robiłyśmy, a pani powiedziała, że właśnie o to głównie chodzi, że nic nie robiliśmy na lekcji, i że mamy się poprawić — dodała Angelika. — A potem chłopcy powiedzieli Ali, że kałbuje i że jest głupia. Że my wszystkie jesteśmy lizuski, a oni tak nie będą, bo oni się nie będą podlizywać.

No i wywiązała się z tego niezła kłótnia. Wszyscy chłopcy „najechali” na Alcię, że ona zawsze zwraca im uwagę, jak coś robią nie tak. Powiedzieli jej, że jest nieważna i wcale nie przestaną, że będą robili, co chcą. Przez następne pięć lekcji im dziewczyny były grzeczniejsze i im bardziej się starały nie podpaść nauczycielom, tym chłopcy ostrzej sobie poczynali: dyskredytowali odpowiedzi koleżanek na forum, podawali w wątpliwość zasadność odrabiania lekcji, informowali z niezachwianą pewnością siebie, że dziewczyny zgłaszają się i są grzeczne, bo w przeciwieństwie do chłopców są lizuskami, które wszystko zrobią dla dobrej oceny.

Na mojej lekcji cała klasa zachowywała się w miarę porządnie, ponieważ wiedzieli, że pewnych zachowań nie toleruję. Niemniej gdy któraś z dziewczynek podchodziła do tablicy i za wolno pisała lub za długo myślała, pojawiały się komentarze. Gdy podany przez dziewczynkę przykład był zbyt „babski”, chłopcy koniecznie chcieli podać swój, bardziej „męski”. Przykłady były poprawne merytorycznie, więc pozwalałam im na to. Gdy dziewczyny podawały jakąś informację, chłopcy, nie czekając, aż wywołam zgłaszającego się, dodawali mnóstwo innych i z wyższością patrzyli na przeciwniczki w konflikcie, przekonani, że oto dowiedli swojej wyższości.

— Niech im pani coś powie!

Patrzyły na mnie błagalnie załamane, posmutniałe oczy. Z nadzieją, że wezmę sprawy w swoje ręce i wszystko będzie jak dawniej.

— Rozumiem waszą sytuację... ale nie zamierzam nic mówić chłopcom.

Dziewczynki były zaskoczone. Nie mogły uwierzyć, że nie chcę ich wziąć w obronę, że nie zamierzam wymusić na chłopcach zmiany ich zachowania.

Wy tłumaczyłam, że jeśli cokolwiek chłopcom powiem, to one znów wyjdą na skarżypyty i będzie jeszcze gorzej. Zapytałam jednak, co innego można zrobić, żeby było dobrze, i na czym tak naprawdę im zależy. Dziewczynki chciały:

- spokoju podczas lekcji;
- żeby nie było zbiorowej odpowiedzialności za złe zachowanie na lekcji;
- żeby chłopcy nie czepiali się Alci;
- żeby chłopcom zależało na byciu najlepszą klasą w szkole, ale razem, a nie przez „wymądrzanie się” i pokazywanie, że chociaż im nie zależy, to są lepsi od dziewczynek.

Uświadomiłam dziewczynkom, że chłopcom tak naprawdę zależy, a robią tak, żeby pokazać, że różnią się od dziewczyn, że są tacy... tacy... — tu mi zabrakło słowa, ale wyręczyła mnie Aga:

— Że są macho! Oni pokazują, że nie są delikatni, nie są maminsynkami i że im nie zależy!

— Macho? Gdzie słyszałaś to słowo? — zapytałam zaskoczona.

Agnieszka opowiedziała, jak to jej mama „wojuje” z jej bratem, który jest już w liceum i nie chce pomagać w domu, robić zakupów i zajmować się, jak do tej pory, odrabianiem lekcji z nią — młodszą siostrą.

— Wtedy właśnie mama mówi, że nie musi być takim macho, który się stawia, bo prawdziwy mężczyzna jest odpowiedzialny za to, co mu się powierza, a odpowiedzialność jest miarą jego męskości — opowiadała z przejęciem Aga.

Doskonale! Postanowiłam wykorzystać doświadczenie mamy Agnieszki. Obiecałam dziewczynom, że wprawdzie zrobię coś, co zażegna konflikt, ale będę udawać, że o niczym nie wiem, i że nie będę opowiadała się po niczyjej stronie.

Moja deklaracja zadowoliła dziewczynki, bo szybko wyszły z sali, a ja mogłam zebrać się na kolejne zajęcia.

W rozwiązywaniu tego typu konfliktów trzeba przede wszystkim przyjąć absolutną bezstronność i nie brać strony dziewcząt (choć ich racje były słuszne), zwłaszcza że czas podkreślenia różnic i konfliktów w grupie zawsze musi nastąpić. Nawet w takiej małej grupie jak rodzina Agnieszki i nawet w takiej, wydawałoby się, zżytej grupie jak klasa moich podopiecznych.

Następnego dnia przypominałam wszystkim, i moim macho, i moim dziewczynom, jakie zasady zachowania obowiązują na lekcjach, jaki jest ich przebieg, w jaki sposób ma zachowywać się uczeń pretendujący do bycia wzorem. O karach za niesubordynację, widząc skruszone minki, wspominać już nie musiałam.

Następnie wzięliśmy się za przydzielanie ról na uroczystość szkolną (akurat wypadła; jeśli w Twoim przypadku nie będzie czegoś takiego pod ręką, po prostu wymyśl jakiś projekt lub zadanie, które wymaga wybierania przedstawicieli i wzajemnego działania w niewielkich grupach). Uczniowie sami zgłaszali się do określonych, pasujących im ról, a ja zachęcałam wszystkich do podawania cech, które sprawiają, że cała klasa zgadza się na tego chłopca lub tę dziewczynkę do roli wodzireja, króla, Kopciuszka, wróżki, krzewów szumiących w tle, DJ-a przy sprzęcie nagłaśniającym lub oficjalnego fotografa imprezy. Wszelkie osobiste wycieczki natychmiast twardo ucinałam, a prawdziwe i sympatyczne wypowiedzi nagradzałam pochwałą i uśmiechem. Klasa szybko wdrożyła się w ćwiczenie, wymieniali doświadczenia, opinie, opowiadali o swoich mocnych stronach, o tym, jaka jest ich wizja występu, w jakich rolach czują się dobrze, a w jakich nie najlepiej, a także jak to bywało podczas innych przedstawień w poprzednich klasach.

Powspominali, pośmiali się, poopowiadali anegdotki i z przy-mrużeniem oka traktowali wpadki różnych „ktosiów” podczas występów. Zbiorowo zdecydowali, że jedynie Alcia nadaje się na prowadzącą, bo jest odważna, ma dobrą pamięć, a na do-datek dobrze podpowiada, jak ktoś zapomni roli. Poza tym była już konferansjerem i dobrze jej to wyszło, a nie tak jak takiej jednej dziewczynie dawno temu — zapomniała dać komendę „spocznij” po wprowadzeniu sztandaru i wszyscy stali tak długo, aż pani jej podpowiedziała.

Rozmawialiśmy też trochę o tym, że zawodowi aktorzy, lud-zie sceny, politycy i dziennikarze umieją tak fajnie wybrnąć z różnych trudnych sytuacji i wcale się nie przejmują. Potem wspólnie wymyślaliśmy, co kto by zrobił, gdyby zapomniał roli albo fałszował na muzyce, albo gdyby ktoś na lekcji przeszkadzał, udając klauna, a pani wcale by to nie śmieszyło. Alcia była wniebowzięta, a Aga... złapałam w pewnym momencie spoj-rzenie jej wielkich, błękitnych i pełnych zrozumienia oczu.

Dobra nasza!

Chmury na klasowym niebie czasowo zniknęły i zaświeciło wielkie, piękne słońce.

Byłam bardzo zadowolona, że świadomie i z rozmysłem za-żegnałam konflikt wynikający z dostrzegania przez członków grupy nie tylko podobieństw, ale i różnic pomiędzy sobą. Cieszyłam się, że zrozumieli, że te różnice czynią ich wyjątkowy-mi i nie do zastąpienia, że dzięki różnym zdolnościom klasa więcej może, bo może uczestniczyć w bardzo różnych, wyma-gających odmiennych umiejętności przedsięwzięciach.

Cieszyłam się bardzo, że zmotywowałam chłopców do lep-szego zachowania i potwierdzania różnic niekoniecznie przez pozowanie na macho, którym na niczym, a zwłaszcza na dobrej opinii, nie zależy. Z zadowoleniem obserwowałam, jak po na-

szych zajęciach chłopcy zakładali krzesła na stoły, pozwalając dziewczynom iść na przerwę.

Zdawałam sobie jednak sprawę, że ponownie zbliża się chwila, gdy będę musiała dobitnie przypomnieć moim wychowankom, że to JA JAKO NAUCZYCIEL rządę w klasie.

Brzmi to może okropnie, ale jest niezbędne. Jedna z dziewczynek opowiadała, że niektórzy chłopcy sugerowali, że nie zamierzają słuchać nie tylko nauczycielki muzyki, ale NAWET mnie. Moja osoba była tylko jednym z wielu elementów ich „niechcenia”, „nicnierobienia” i ogólnego sprzeciwu wobec poleceń, zaleceń i obowiązujących norm. Ale moja osoba i moje stanowisko nie mogły stać się elementem jednym z wielu, elementem, który w zależności od nastroju ignoruje się lub się go słucha. WYCHOWAWCA musi być zawsze autorytetem dla uczniów i musi ten autorytet trzymać.

Nie mogłam pozwolić sobie na podjazdową walkę o władzę z moją klasą. Wymiana złościwości absolutnie mnie nie interesuje, zasady gry mają być czyste i przestrzegane. Nie mogę też na uczniów nawrzeszczyć, bo wtedy użyję przewagi swojego wieku i stanowiska wobec nich, a oni szybko zrozumieją, że to moja ostatnia deska ratunku.

Zaczęłam więc planować. Klasa już się lubi, chyba sobie nawet wybaczyli ostatnie zachowania. Przed nami wiele godzin dodatkowej pracy z okazji przedstawienia szkolnego. Ten ekstraczas wykorzystam w celu krzewienia sympatycznych relacji między uczniami, a przy okazji pokażę im, że jestem świetnym przywódcą i że nie ma potrzeby buntu, puczu, rewolucji przeciwko mnie.

To działanie na zasadzie szczepionki — nie czekam na to, by uczniowie nabrali ochoty do pokazania, jak bardzo się zgrali, poprzez wszczynanie konfliktu ze swoim wychowawcą. Zamiast

tego dam im kilka DROBNYCH powodów do narzekania na mnie. Stanę się ich wspólnym wrogiem, żeby całkiem zapomnieli o kłótniach między sobą oraz żeby docenili te momenty, w których jestem sympatyczna i otwarta na rozmowy.

Występy za dwa tygodnie. Wszyscy chcemy sukcesu.

Zaczynamy szczepienie!

Na kolejnej najbliższej godzinie wychowawczej OZNAJMIAM (nie proponuję, nie proszę, nie sugeruję, tylko oznajmiam), że próby odbywają się codziennie od czternastej do szesnastej.

Cisza, zupełna.

Czekam.

Po chwili odzywa się kilka najodważniejszych głosików:

— Nie mam dojazdu!

— Nie ma mowy, w piątek jeździmy zawsze do babci!

— Ani mi się śni, nigdy nie przyjdą wszyscy, to ja też nie muszę!

— Moja mama nigdy się nie zgodzi, bo o piętnastej mamy obiad!

— Mój tata się nie zgodzi, mam z nim sprzątać garaż.

— A ja muszę wtedy być z siostrą!

Gdy odpowiadam spokojnie „próby codziennie, 14 – 16”, otwiera się cała powódź argumentów.

Dowiaduję się, że nie uda się przełożyć prywatnych lekcji z angielskiego, że po lekcjach są „energetycznie wypompowani”, że przecież mogą robić te próby na lekcjach. Moje próby? Aha! Idziemy w dobrym kierunku! Buntują się, z każdym argumentem coraz mocniej, coraz odważniej, protestują już wszyscy, nawet grzeczne dziewczynki z niebieskimi oczami.

No, może nie wszyscy. Marek nie włącza się w kanonadę, bo on i tak zawsze do szesnastej siedzi na świetlicy.

Rwetes.

Przekrzykują się, ale... nie szukają rozwiązań. Jeszcze nie szukają. W porządku, rozumiem, po prostu potrzebują sobie jeszcze trochę pokrzyczeć, sprzeciwić się decyzji lidera.

Gdy upór słabnie, a argumenty wyczerpują się, PROPONUJĘ (tym razem nie narzucam), aby w takim razie część ról oddać dzieciom z innych klas, bo one na pewno będą mogły i będą chciały przychodzić. Ale nikt nie chce pozbywać się prestiżu i przyjemności występów.

Pytam więc, co oni proponują, jakie jest wyjście z tej sytuacji.

Nie słyszę niczego konkretnego. W zasadzie to nic im się nie spodoba i nic nie spotka z aprobatą.

W porządku, kończę etap rwetusu i przechodzę do zmiany ich przekonań. To jedyny sposób, żeby sami z siebie zrozumieli, co jest dla nich naprawdę ważne.

Proszę wszystkich o wyjście na środek klasy. Pozbawiam ich przez to zasłony w postaci ławek. Na środku cichną, nie bardzo wiedzą, do czego zmierzam. Patrzą na ich buzie i zaczynam.

— Skoro nie możemy dojść do porozumienia, to terminy prób będziemy planowali z dnia na dzień. Czasu mamy dość, dwa tygodnie. W ostateczności obędziemy się zupełnie bez prób... — robię pauzę i pozwalam im na chwilę aplauzu, potem kontynuuję: — ... tylko nie wiem, jak to będzie, bo przecież obiecałam wam, że przy okazji prób nauczę was, jak pokonać tremę. Sami wiecie, jak ona na was wpływa. Coś straszego ta TREMA.

Błyskawicznie zapada cisza, bo w małych głowach zaczyna się wyobrażanie sobie siebie stremowanego na scenie, na oczach całej szkoły i rodziców. Po chwili głosiki zaczynają mięknąć.

— Nooo, ja wiem, kolana mi się trzęsą i głos drży.

— A ja zapominam tekstu...

— No, a pamiętacie, jak ta Joaska, co jest już w gimnazjum, prawie płakała? Ale wstyd!

I zaczynają się pytania, jak poradzić sobie z tą treścią. Z tą okropną treścią! Już nikt nie walczy ZE MNA, bo wszyscy mamy wspólnego wroga, którym nie musi wcale być człowiek. W tym dniu jest to TREMA!

Gdybym od razu zaczęła od tremy, to na nią zużyłoby się szczepionkę buntu. A sprzeciw wobec mnie, i to sprzeciw dotyczący lekcji, a więc znacznie poważniejszy niż wobec zostawiania po lekcjach, wciąż by pozostał! Tymczasem „wyprztykali się” z buntu na moim błahym narzuceniu godziny prób, a teraz pokażę im, że WSPÓLNIE, oni i ja, możemy poradzić sobie z treścią. Stoimy teraz po tej samej stronie, wszyscy wiemy, że mamy wspólny cel — dać świetne przedstawienie!

Oczywiście tremy nie da się pokonać ot tak — trzeba kilku prób. Na tych próbach uczniowie będą powtarzać swoje role, a gdy tylko poczują treść, mają mówić głośno o tym, co „robi im trema”. Ćwiczymy to zresztą od razu na kilku ochotnikach. Gdy ochotnicy opowiadają o tremie, doradzam im, jak mają stać, jak mówić, co robić z rękoma, jak panować nad głosem. Mówię, że to kwestia ćwiczeń, zalecam małe sztuczki. Obiecuję ćwiczyć z nimi, walczyć razem z tym okropnym zjawiskiem — ale nie bardzo wiem kiedy, bo przecież oni mają tyle obowiązków.

Uczniowie już się nie buntują (dobrze czują wspólnego wroga — treść). Obiecują, że na poniedziałek dowiedzą się, czy w ogóle i jeśli tak, to jak długo mogą zostawać po lekcjach. Zapisują możliwe terminy, podpierają się planem lekcji. Uśmiecham się, bo oto jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki klasa przejmuje odpowiedzialność za to, czy osiągną cel (świetny występ), za powodzenie całego przedsięwzięcia. Uczniowie

podjmują decyzje i pytają MNIE (jako osobę z autorytetem usankcjonowania), czy ich decyzje są dobre. Zostawiam im swobodę — możemy ćwiczyć wcześniej rano, możemy po lekcjach. Jeśli będzie chwila, to z treścią możemy walczyć również na języku polskim, a ja porozmawiam z nauczycielami przyrody i matematyki, żeby ostatnie pięć minut lekcji przeznaczyli na drobne treningi antytremowe.

Wszyscy są pełni zapału i nikt nie myśli o buntowaniu się przeciwko mnie.

W poniedziałek okazuje się, zgodnie z moimi przewidywaniami, że nie ma niczego, czego nie można by przełożyć w imię sukcesu podczas przedstawienia. W klasie skupienie, zorientowanie na pracę. Mamy dwa tygodnie, tylko dwa, a przed nami wiele pracy! Uczniowie wyliczają, co trzeba zrobić. Świetni są w tym! Biorą odpowiedzialność za dekorację, czas prób, motywują się nawzajem, żeby szybciej nauczyć się ról. Zaskakujące, że starają się zapamiętać również cudze role. Po co? Wyjaśniają, że to na wypadek, gdyby ktoś zachorował i trzeba by go było zastąpić. Cały czas pilnie walczą z treścią — a właściwie już nie tyle walczą, co ją oswajają i uczą się, że może być twórcza. Kiedy tłumaczę im, jak stać, jak oddychać, kiedy wprowadzam ćwiczenia rozluźniające, koryguję błędy, uczę trzymać mikrofon, skwapliwie wykonują ćwiczenia, podporządkowują się bez ociągania, pomagają sobie wzajemnie.

Oczywiście taką współpracę trzeba nieco przetestować, dlatego jako gościa w przedstawieniu zapraszam (NARZUCAM) uczennicę innej klasy, świetną wokalistkę. Moi uczniowie przyjmują ją bardzo dobrze, biją brawo po jej próbach, wdrażają ją w zadania, pomagają jej i ją wspierają. Na tym etapie muszę czuwać już tylko nad tym, żeby atmosfera była wesoła, żeby nie zabrakło pochwał, docenienia, podkreślania osiągnięć.

Przed występem, kiedy wszystko jest dopięte na ostatni guzik, słucham, jak bardzo są dumni, jak wiele wysiłku włożyli w przygotowanie uroczystości. Obserwuję, jak z dumą ogarniają wzrokiem udekorowaną salę, jak bardzo są przejęci i jak świetnie się rozumieją. Teraz, na chwilę przed występem, mówię im, jak bardzo jestem z nich dumna. Rozładowuję atmosferę napięcia żarcikami.

— Ale jeśli trafi się na widowni taki śmieszek, który będzie robił miny, a może i cytrynę wyciskał, to co zrobicie?

Wszyscy się śmieją. Wiedzą, że sobie z tym poradzą, że to ich nie zdenerwuje.

— Poproszę, żeby przestał, i wróć do tekstu — mówi Agatka.

— Pokażę mu język! — śmieje się Kacper.

— Nie waż się, co pomyślą goście! — oponuje Paulina.

Wszyscy są w wyśmienitym nastroju, mimo że za moment sala napełni się widzami.

Pokonaliśmy tremę!

Kurtyna w górę!

Przedstawienie wyszło wspaniale! Mamy piękne nagranie wideo i zdjęcia naszego oficjalnego fotografa.

Po wszystkim sprzątamy salę, zbieramy dekoracje. Powinniśmy się śmiać, podskakiwać z radości, bo przecież odnieśliśmy wielki sukces, wszyscy nam gratulowali, dziś ostatni dzień w szkole przed feriami. A my? Snujemy się jak cienie, nikt nie mówi, w końcu siadamy na podłodze i w ciszy jemy kanapki, ciastka, cukierki.

— Niedobrze mi! — szepcze Madzia.

— A ja chcę do domu... — Bartek jak długi wyklada się na parkiecie.

Nie mają siły, są zmęczeni, opada adrenalina, dopada znużenie. Nie próbują ich pocieszyć ani niczego uzasadniać. Mają prawo czuć się zmęczeni, ciężko i aktywnie pracowali. Szanują to. Próbuje rozmawiać o planach na ferie, ale rozmowa się nie klei. Aga z Martą umawiają się na wieczorną rozmowę przez komputer. Rafał wstaje i zarzuca plecak na ramię:

— Można już iść?

— Pewnie, że można. Jeszcze raz dziękuję. Byliście wspaniali. Udanych ferii! — również wstaje z miejsca.

— Dobrze było, prawda? — dopytuje jeszcze.

Przytakuję i noga za nogą wlecziemy się do wyjścia. Smutno nam, bo coś się skończyło. To nieważne, że za dwa tygodnie spotkamy się znowu. Chcieliby jeszcze pobyć razem, ale są zmęczeni i trochę mają już siebie dość — pewnie dlatego Angelika kłóci się z Jaśkiem, kto pierwszy przejdzie przez drzwi i kto ma dalej do domu.

Wieczorem w domu otwieram pocztę w komputerze. Tak jak przypuszczałam — kilkanaście nowych wiadomości, z czego ponad połowa od moich uczniów. Życzą mi udanych ferii, wypoczynku. Chcą potwierdzenia, że naprawdę było wspaniale. Jeden pyta nawet, czy czegoś na ferie nie zadałam, bo z emocji nie pamięta, a nie ma nigdzie zapisane. Jest też kilka kolorowych obrazków z kotkami, misiami i serduszkami, żółte, uśmiechnięte emotki. Nim zasnę, odpisuję skwapliwie na wszystkie maile.

Czy podejście „wspólny wróg” zawsze się sprawdza? Cóż, niektórzy radzą sobie z klasami, stawiając sprawę na ostrzu noża: „albo ja, albo oni”. Ja tak nie lubię. Nie lubię traktować uczniów, w końcu jeszcze dzieci, jak równych sobie przeciwników, którym trzeba zażarcie wszystko wydzierać kawałek po kawałku.

Poza tym lubię, gdy trzeba włożyć nieco wysiłku w to, co się robi. Może to przejaw niespełnionej miłości do ogrodów (w których efekty trzeba wypracować własnymi rękami i w pocie czoła) — w domu nie mam nawet malutkiej grządki!

Dzięki wprowadzeniu szczepionki przeciw poważniejszym konfliktom — najpierw jakiś błahy powód, potem właściwy wróg — będziesz w stanie kontrolować siłę i kierunek konfliktu. W Twoich działaniach nie będzie przypadkowości, a zatem i nie będzie stresu. Możesz w ten sposób zapanować nad trudnym dniem, trudną klasą, trudnymi sprawami. Możesz stać się wychowawcą, o którym będzie się mówić, że ma takie wyjątkowe szczęście do grzecznych dzieci. A Ty będziesz wiedzieć swoje i będzie Ci bardzo z tym miło.

Wracając do koleżanki i jej podopiecznego z etykietką OBCEGO, wszystko dobrze się skończyło, choć jak opowiadała koleżanka — były spore nerwy. Wspólnym wrogiem była w tym przypadku porażka w zawodach sportowych — ponieważ chłopiec był świetnym biegaczem. W klasie zapanował względny spokój, do następnego razu oczywiście. Ale wygląda na to, że tym razem jednym z buntowników klasowych będzie ten „nowy” uczeń. Bez ingerencji wychowawcy, bez jego wpływu.

WNIOSKI Z ROZDZIAŁU 2.

- Na początku lekcji, zajęć pozalekcyjnych, wspólnego przedsięwzięcia, wycieczki lub przy okazji jakiejś ważnej zmiany (w opisywanym przypadku było to uświadomienie różnic w rozwoju między dziewczynkami a chłopcami) uczniowie czują się niepewnie. Dążą więc do zorientowania się, po co się spotkali, jakie są ich zadania, z kim mogą współpracować, kto przejmie przywództwo, kto woli pozostać w cieniu. Dobrze jest wtedy podać główny cel zajęć, wprowadzić określone zasady pracy. Dzięki temu członkowie grupy poczują się pewniej, otrzymają poczucie przynależności i zestaw gotowych reguł postępowania. Nie należy dawać im jednak tego od razu, podanego na tacy, przy pierwszej próbie — bo w ten sposób nauczą się tylko wymuszania, a nie nabędą prawdziwej umiejętności.
- Kiedy każdy znajdzie swoje miejsce w grupie, będzie się starał wyróżnić, zdobyć uznanie. Może się to dziać w rozmaity sposób — od podkreślania swoich umiejętności, odrębności, zalet, poprzez konflikty pomiędzy pojedynczymi osobami (próby sił), rywalizację przeciwnych „obozów”, aż po tworzenie nieprzyjaznej atmosfery (wyróżnienie negatywne). Warto wtedy publicznie przypominać zasady, podkreślać wyjątkowość każdej z osób, wskazywać, w jakich sytuacjach indywidualne możliwości przydają się całej grupie. To bardzo motywuje!
- Gdy grupa mniej więcej dojdzie ze sobą do ładu, zechce wykorzystać swoją nową siłę w praktyce. A najbliższą „ofiarą” jesteś Ty — nauczyciel, wychowawca, lider klasy. Próby

mogą być różne: począwszy od żartów, przez niesubordynację, lekceważenie poleceń, bunt. Trzeba wtedy znaleźć uczniom wroga zastępczego, na którym będą sobie mogli poużywać w imię wspólnego dobra (dlatego nie powinien to być człowiek, bo trzeba dać możliwość upustu emocji). Może to być wszystko: od tremy, poprzez brzydką pogodę, która uniemożliwia rajd pieszy, po hałas na korytarzu lub grasującą epidemię grypy, lenistwo, spadek motywacji. Gdy klasa się wyszumi, będzie gotowa do podejmowania decyzji o sobie, swoich dalszych losach, zadaniach, zakresach odpowiedzialności, sposobach pracy itd.

Pod koniec lekcji, wycieczki, spotkania, momentu zmiany występuje obniżenie nastroju. To naturalne zjawisko zwane fazą wygaszania. Nie należy brać go do siebie ani na siłę podrywać się do działania. Po prostu wszystko się udało. Dobrze w tym momencie przypomnieć uczniom wszystkie dobre chwile, podziękować za wysiłek, pochwalić wspaniałe zachowanie i przedsiębiorczość, nawet dać kreatywne zadanie domowe — poprosić o kartkę z pamiętnika, sprawozdanie, sprawić, by sami dla własnej przyjemności powspominali, pooglądali zdjęcia lub opowiedzieli rodzicom o swoich nowych doświadczeniach. Potem można pożegnać się z nimi do następnego spotkania — ze świadomością, że cały proces zacznie się na nowo na następnej trudnej lekcji, w nowym roku szkolnym, na próbie, wycieczce lub gdy znów dowiedzą się o sobie czegoś, co naruszy ich ustalony od jakiegoś czasu obraz siebie.